Rok II. Nr. 2.

ECHA LEŚNE

POPULARNE PISMO LEŚNE.
Miesięcznik, wydawany przez Związek Zawodowy Leśników w Rzeczypospolitej Polskiej.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Foksal 14 m. 2, telefon 3-60.

WARSZAWA. LUTY 1925 r.

Poznawanie drzew.

W zrozumieniu, iż „Echa Leśne“ oprócz dorywczych artykułów z dziedziny leśnictwa powinne przedewszystkiem w formie popularnej uprzystępnić naukę poznania samej istoty drzewa, rozpoczynamy z dzisiejszym numerem pisma pracę w tym kierunku. Na wstępie zaznaczyć musimy, iż niebędzie to żadna praca oryginalna, bo to, o czem pisać będziemy, są już rzeczy znane, lecz w formie możliwie najprzystępniejszej — opierając się na dziełach znanych w literaturze leśnej — podawać będziemy czytelnikom zasady przez ogół uczonych uznane. W końcu rozpoczętej dziś pracy podamy nazwiska tych autorów, z których czerpaliśmy poniższe notatki.

ROZDZIAŁ I.

Co to jest drzewo.

Drzewo jest to roślina, mająca w stanie naturalnym pień czyli strzałę pojedyńczą mniej więcej twardą, znacznej wysokości i grubości, z której, w pewnej odległości nad ziemią wyrastają gałęzie, stanowiące koronę drzewa.

Części składowe drzewa stanowią; korzeń, pień czyli strzała, gałęzie, liście i kwiaty przekształcające się w nasienie.

Korzeń jest część dolna rośliny w ziemię wchodząca, która rozrastając się w przeciwnym strzale kierunku, służy do utrzymania się rośliny w ziemi i ciągnie z niej soki pożywne.

Strzałą zowiemy łodygę drzewa, kształtu podłużnego, walcowatego, twardą i trwałą, złożoną ze słojów spółśrodkowych, na sobie ułożonych, a zatem coraz większych od środka ku obwodowi.

Gałąź jest to odnoga strzały drzewa, która wzrastając rozdziela się na mniejsze odnogi czyli gałęzie. Wewnętrzna budowa gałęzi jest ta sama co i strzały drzewa, do którego należy.

Liście są to organa błonkowate, zielone, umieszczone na gałęziach, ciągnące z powietrza gazy i płyny do życia drzewa potrzebne, a wyziewające takież gazy zbyteczne i niepotrzebne.

Kwiat jest część przemijająca rośliny, składająca się z organów płciowych, złączonych na jednej podstawie, z pokryciem lub bez pokrycia zewnętrznego, do ich ochrony przeznaczonego, w której odbywa się zapłodnienie, mające na celu utrzymanie bytu czyli rozmnożenie tej rośliny.

Korzenie służą do wciągania z ziemi soków potrzebnych do wrostu rośliny, za pomocą włókienek czyli włosków, zakończonych gatunkiem małych gąbczastych zgrubiałości. Włókienka pełnią tą czynność przez rok, następnie rozrastają się, a w ich miejsce tworzą się nowe.

Korzeń ma naturalną i nieprzezwyciężoną dążność kierowania się ku środkowi ziemi i tylko w roślinach pasożytnych, a w szczególności w jemiole korzonek dąży zawsze w kierunku prostopadłym do osi gałęzi drzewa, na której rośnie i unika światła.

Korzenie roślin drzewnych stosownie do swego kształtu, jaki przybierają rozrastając się w ziemi dzielimy na:

1) korzenie palowe, proste i głęboko idące w głąb ziemi tworzące niejako przedłużenie pnia, bez widocznych rozgałęzień;

2) korzenie serdeczne, które tuż pod ziemią dzielą się na mniejsze, równie silne idące w głąb, oraz na

3) korzenie płaskie, t. j. poziome, nie zapuszczające się zbytnio w głąb, rozdzielają się i rozrastają pod powierzchnią ziemi.

Strzała czyli pień składa się z kory, bielu, twardzielu t. j. właściwego drewna i rdzenia.

Kora jest to powłoka zewnętrzna drzewa, okrywająca korzenie, strzałę i gałęzie drzew, a składa się z naskórka zwanego korowiną, miazgi i łyka.

Naskórek jest zewnętrzną częścią kory, cienką, delikatną i częstokroć przezroczystą, która na starych drzewach usycha i odpada lub też przysycha do kory. W niektórych drzewach okrywa korkowa stanowi korek.

Miazga jest to warstewka tkanki komórkowatej różnego koloru, tuż pod naskórkiem pomieszczona.

Łyko leży najbliżej przy drzewie.

Biel stanowi warstwa drzewna, miękka, niedoskonała, dotykająca łyka, barwy jaśniejszej od drewna.

Twardziel lub miąż drzewa powstaje z wewnętrznych słojów bielu, które kolejno nabierają większej twardości i są najmocniejszą częścią drzew i krzewów.

Część zajmującą środek strzały nazywamy rdzeniem.

Rdzeń powstaje z tkanki komórkowatej, która rozpoczyna się od korzeni i jest częścią składową całego szkieletu drzewa.

Rdzeń łączy się z miazgą kory, za pośrednictwem przedłużeń, które będąc podobnemi do promieni rozchodzących się ze środka ku obwodowi nazywamy promieniami rdzennemi. *X.*

JERZY BORAWSKI.

Dziesięć przykazań pomologa a leśnicy.

(Dokończenie).

III Przykazanie. Sadź drzewa w szachownicę, w odległości, dla jabłoni i grusz od 7 do 10 mtr., co zależne jest od gleby i siły wzrostu odmiany; wiśnie silniej rosnące (słodkie) i śliwę francuską co 6 mtr., a wiśnie kwaśne, śliwy i węgierki co 4 do 5 mtr.

IV Przykazanie. Oddawaj pierwszeństwo zawsze drzewom nizkopiennym. Nie sadź nigdy młodego drzewa w to samo miejsce, skąd wykopałeś stare, ponieważ nie będzie ono już dobrze rosło, jeżeli jednak musisz posadzić, to wykop dół większy jak zwykle i wszystką ziemię z niego usuń, a dowieź w to miejsce ziemi żyznej i świeżej.

V Przykazanie. Przy sadzeniu obcinaj u grusz i jabłoni koronę tylko o tyle, by nie naruszyć równowagi wzrostu między korzeniami, a koroną drzewa. Długość cięcia korony zależne jest od odmiany, nie może jednak być krótsze ponad 30 cent., wiśnie i śliwy mogą być cięte krócej. Nie wycinaj nigdy całej gałęzi, a pozostaw na niej choćby 2 oczka. Dłużej jak w ciągu 3 lat po posadzeniu drzew nie obcinaj, gdyż do

tego czasu każda z gałęzi zajmie już odpowiednie miejsce na drzewie i korona się już ostatecznie uformuje.

VI Przykazanie. Pamiętaj! że staranna pielęgnacja sadu, jest gwarancją jego długoletniej egzystencji, jego zdrowia, a zatem i obfitych plonów.

Ziemię pod koronami drzew motykuj parę razy do roku by utrzymać ją w spulchnieniu i zniszczyć wszelkie trawy. Szczotką lub skrobaczką, oczyszczaj starannie pnie drzew od mchów, by pod nimi nie zagnieździły się szkodliwe owady. Latem i na wiosnę zbieraj gąsienice i chrabąszcze, by się nie rozmnażały. Gałęzie, o ile wyschły lub są zbyt gęsto obok siebie na drzewie rozmieszczone, obcięrają się wzajemnie i kaleczą — wytnij ostrym nożem u nasady lub odpiłuj je, a pozostałe po ścięciu rany zasmaruj maścią ogrodniczą. Ochraniaj pień drzewa od wszelkich uszkodzeń tak ze strony ludzi, jak i zwierząt.

VII Przykazanie. Drzewo owocowe czerpie pożywienie z ziemi dla wytworzenia nowego drewna, liści i owoców, a zatem należy jej zwrócić to samo w postaci nawozu, co z siebie wydała. O ile drzewa nie rodzą, pomyśl przedewszystkiem dla nich o nawozie.

Mierzwić ziemię można w każdej porze roku, najlepszy jednak skutek wywiera mierzwienie zimą.

Jako nawóz służyć może obornik, ekskrementy ludzkie lub ciecz nawozowa. Mierzwę pomieszczaj nie w bliskości samego pnia drzewa, lecz pod koroną, gdzie kończą się jego gałęzie. Nie obawiaj się nigdy, że dajesz zbyt wielkie ilości nawozu, a myśl raczej o tem czy, nie będzie go dla drzew za mało.

VIII Przykazanie. Drzewa stare, szczególniej odmian silnie owocujących, z czasem wyczerpują się nie dając dostatecznego przyrostu, takie drzewa należy odmłodzić. W tym celu jesienią obetnij wszystkie gałęzie, pozostawiając na drzewie $1/2$ lub $1/3$ ich pierwotnej długości; rany, które się od cięcia wytworzyły, zasmaruj maścią ogrodniczą, a gdy wiosna nadejdzie z nowych pędów, które z obciętych gałęzi bujnie

się rozwiną, wybierz i pozostaw tylko te które mogą ukształtować nową koronę drzewa, resztę gałęzi usuń.

IX Przykazanie. Jeżeli dobrze rośnie drzewo, a owoców nie przynosi, lub są one niedorodne — przeszczep je wiosną inną odmianą, która w danej okolicy dobrze się udaje, będąc przystosowaną do klimatu i gleby, a także odpowiada twoim osobistym wymaganiom i potrzebom. Po upływie 3-ch lat przeszczepiane drzewa dadzą już pierwsze owoce. Sposób przeszczepiania powszechnie stosowany jest do wszystkich śliwek zwyczajnych, jako nie mających prawie żadnej wartości. Śliwkę tę przeszczep na wiosnę wielkoowocowemi renglodami, lub węgierkami, a otrzymasz z nich duże korzyści i moralne zadowolenie.

X Przykazanie. Owocom dojrzewającym we wrześniu, a szczególniej jabłkom i gruszkom nie pozwalaj by zbyt długo wisiały na drzewie.

Gruszki obrywaj o tydzień wcześniej przed zupełnem ich dojrzeniem, inaczej bowiem będą się źle przechowywać staną się niesmaczne i mączyste. Owoce zimowe, przeciwnie pozostawiaj na drzewie jak można najdłużej, ponieważ tylko wtedy będą one długo leżały, nie psując się i nabiorą prawdziwego smaku.

Owoce odmian zimowych obrywaj bardzo ostrożnie ponieważ każde nagniecenie, plamka lub obtarcie, zmniejsza ich wartość, wywołując w przyszłości gnicie. Spadki używaj do wyrobu wina owocowego, octu, w ostateczności skarmiaj bydłem, lecz pod żadnym pozorem opadłe owoce leżeć pod drzewami nie mogą, gdyż są najczęściej chore lub robaczywe.

Z czego się składa i jak powstała gleba uprawna.

Gleba — ten właściwy warstat rolnika — nie jest tak prosta w swym składzie, jakby się to komuś na pozór wydawać mogło. Wiemy przecież jak różne są gleby, jedne ciężkie, drugie lekkie,

jedne urodzajne, inne ubogie; otóż różne ich właściwości zależą właśnie od ich różnego składu.

Z czegóż się zatem gleba składa?

Przedewszystkiem z grubszych i drobniejszych cząstek piasku, i z mniejszej lub większej ilości gliny. Do tego przyłącza się domieszka t. zw. próchnicy, t. j. różnych resztek roślinnych i zwierzęcych i wreszcie wapno, którego w każdej ziemi jest pewna, choć czasem bardzo tylko mała ilość. Każdy zrozumie, że zależnie od tego, ile w jakiej ziemi będzie powyższych składników, gleba będzie różna. I tak, będzie piaszczysta, gdy będzie zawierała dużo piasku, a gliniasta, gdy dużo gliny; próchniczna, gdy będzie miała dużo próchnicy, a wapnista gdy — dużo wapna.

Ale nie na tem koniec.

W skład ziemi wchodzą jeszcze i inne składniki, które bardzo wpływają na jej jakość. A więc przedewszystkiem woda, tem ważniejsza, że bez niej rośliny żyć na ziemi nie mogą. A takim samym ważnym składnikiem jest i powietrze, które również w każdej glebie się znajdować musi. Najważniejszym jednak składnikiem, od którego zależy siła rodzajna ziemi, to pokarmy roślinne, które w różnych ilościach i w różnych postaciach w ziemi występują. A przyczyniają się do wytwarzania się ich w glebie różne roślinki, jak i zwierzątka, większe i mniejsze, a zwłaszcza te najmniejsze, których okiem nie dojrzeć. One to ciągle przerabiają składniki gleby, a zwłaszcza próchnicę i wytwarzają z nich pokarmy dla roślin.

Widzimy zatem, że gleba jest złożona z wielu składników, których raz mniej, raz więcej, nic zatem dziwnego, że nie zawsze jest ona jednakowa.

A jakże ona powstała?

By na to odpowiedzieć musimy sięgnąć daleko w historję naszej kuli ziemskiej. Kiedyś, przed miljonami, miljonami lat była cała jej powierzchnia pokryta tylko skałami, jakby twardą skorupą. Nawet wody na niej nie było, bo skutkiem wielkiego gorąca nie mogła się ona skroplić, lecz tylko jako para wodna unosiła się nad ziemią. Ziemia jednak stygła coraz bardziej, aż wreszcie tak się ochłodziła, że ta para wodna zaczęła się skraplać i padać na ziemię. Potworzyły się wtedy morza i lądy i z tą chwilą zaczęła się też tworzyć gleba. Bo oto ta woda, spływająca z niebios na ziemię zaczęła rozmywać te skały, spłókiwać z nich wszystko do morza i osadzać na dnie tegoż. Na tak nagryzione przez wodę skały, tem silniej działało powietrze, raz ciepło, to znowu zimno, a wreszcie i rośliny i zwierzęta, które na ziemi się pojawiły. Krótko mówiąc, owe skały na powietrzu zaczęły wietrzeć, czyli kruszeć, rozsypywać

się w proch, a ten proch skalny wraz z resztkami roślin i zwierząt, wraz z powietrzem i wodą utworzył glebę z pokarmami roślinnemi.

A czy się to tylko działo przed wiekami, a dziś się już nie dzieje? Otóż nie, bo i dzisiaj nietylko każda skała, ale i każda gleba tak samo wietrzeje na powietrzu, a czem lepiej wietrzeje, tem więcej się wzbogaca w pokarmy roślinne, tem bardziej staje się urodzajną.

(Zagroda wzorowa). *J.*

Szczególne zdarzenie.

Człowiek, który jak mówią, nie posiada własnego kąta a skazany od lat najmłodszych do myślenia o sobie samym, ten nie może kierować wyborem miejsca, gdzie pragnąłby spędzić życie, lecz pozostaje skazany na łaskę losu i wbrew własnemu życzeniu osiedla się tam, gdzie łaskawie ofiarowano mu możliwość egzystencji.

Zaliczony do rzędu takich parjasów, w okresie długo przed wojną światową, musiałem opuścić zajmowane miejsce, gdzie mówiąc nawiasem, było mi wcale dobrze, a szukać posady podówczas jeszcze zagranicą t. z. w zaborze austryackim.

Na przyczynę tego złożyło się wiele czynników, lecz najważniejszym była żandarmerja rosyjska, której niepodobał się wypadek, jaki zaszedł w moim obchodzie, przez który przechodził trakt publiczny do powiatowego miasteczka. Należy wspomnieć o tem, iż działo się to w czasie t. z. rewolucji.

Otóż po obu stronach traktu, w odstępach mniej więcej 200 do 300 kroków, poprzylepiano na drzewach proklamacje nawołujące ogół do powstania. Zanim ja sam spostrzegłem je, już policja zdążyła się o tem dowiedzieć i wraz z żandarmerją przybyła na leśnictwo gdzie dowiedziawszy się, iż ta część lasu należy do mojego obchodu, uznała za najwłaściwsze rozpocząć badania od mojej osoby.

Nie wiedząc o niczem, trudno było dawać jakiekolwiek wyjaśnienia, ale to właśnie uporczywe moje zasłanianie się nieświadomością, nietylko, że nie zadowoliło organy bezpieczeństwa, ale prawdopodobnie nie zyskawszy wiary, skłoniło do polecenia mi stawienia się w dniu następnym w powiecie.

Z doświadczenia wiedziałem już, co to znaczy. W tych gorących czasach unikano natychmiastowego aresztowania podejrzanych, zwłaszcza w dzień i w dniu targowym, a w uprzejmej formie zapraszano do powiatu, rzekomo dla powtórzenia zeznań przed „naczalstwem".

Wprawdzie do winy się nie poczuwałem, szczególniej co do tych proklamacji, a chociaż może i wiedziałem cośkolwiek o tem, kto je rozlepiał, nie bardzo czułem się pewnym, a to tem bardziej, iż posłuchanie w powiecie kończyło się zazwyczaj odwożeniem przesłuchiwanego do szpitala więziennego. Przyznam się również, iż nie miałem zbyt wielkiej ochoty do próby wytrzymałości własnej skóry, wobec czego nie pozostawało mi nic innego, jak tylko zmienić kierunek drogi i zamiast dnia następnego stanąć w powiecie, podążyć dziś jeszcze ku granicy. A ponieważ na długi namysł czasu nie było, więc jeszcze przed zachodem słońca znalazłem się po drugiej stronie Wisły, a porą nocną, drogą znaną mi już z niejednej wycieczki po druki, znalazłem się za słupami granicznemi. Wspominam o tem wszystkim dla wyjaśnienia, co było powodem konieczności szukania chleba po drugiej stronie Wisły.

I tym razem los, o jakim mówię na wstępie, zapędził mnię aż ku granicy węgierskiej, w góry karpackie, gdzie znalazłem się w warunkach biegunowo odmiennych od znanych mi dotychczas.

Nowa służba w górach, polegała więcej na tropieniu kłusowników, aniżeli na ochronie lub hodowli lasu. Kiedy bowiem nadszedł okres bekowiska jeleni, całe tygodnie spędzało się w lesie na czatach, zazwyczaj w towarzystwie kilku kolegów, z którymi obsadzało się

y zwierzyny.

Cały sekret polegał na możliwości schwytania kłusownika przed strzałem. Daremnie byłoby bowiem biec na strzał, zejście bowiem z jednej góry lub jej obejście, dla przecięcia kłusownikowi drogi, połączone było z trudem nie do przezwyciężenia.

Należało tedy, ukrywszy się, spokojnie wyczekiwać aby naiwny kłusownik doszedł sam do naszego stanowiska, a wówczas można było liczyć na większe szanse jego unieszkodliwienia.

Wypada wspomnieć i o tem, iż właścicielem majątku był magnat, który raz do roku, zwykle w porze jesiennej, odwiedzał swój majątek jedynie dla przyjemności odstrzału podczas bekowiska jeleni.

Na parę więc tygodni przed zapowiedzią przyjazdu właściciela, cała tamtejsza administracja była w ruchu. Straż leśna musiała z całą dokładnością znać miejsca godów weselnych króla tamtejszych, lasów. Złą jednak stroną tej zabawy była okoliczność, że tak miejscowi jak i węgierscy kłusownicy, byli również amatorami polowania i korzy-

, dla łatwego zdobycia zwierzyny.

Ze swojej strony administracja nie szczędziła zabiegów, kosztów i starań, aby, nie płosząc zwierza, dać właścicielowi, raz do roku widzianemu, złudzenie sprężystości i troski o zwierzostan. Wysokie na-

grody, jak na owe czasy, były wyznaczone dla straży leśnej, za odebranie fuzji, a jeszcze wyższe za przyprowadzenie kłusownika do zarządu.

Gonitwa za zdobyciem nagrody była też pewnego rodzaju przyczyną, iż rok rocznie kroniki tamtejsze notowały wypadki zabójstwa bądź kłusownika, bądź też członka straży leśnej, szczególniej wówczas, kiedy kłusownik pochodził ze strony węgierskiej. Chęć jednak zdobycia nagrody nie odstraszała straży leśnej od pilnego tropienia tych szkodników, pomimo, iż, jak powiedziałem wyżej, tropienie to nie należało do nader bezpiecznych.

Utarł się już zwyczaj, że ten był panem położenia, kto pierwszy miał szczęście spostrzec drugiego i chociaż chodziliśmy w kilku, pamiętając o tem przy zajmowaniu stanowisk, aby jeden drugiemu mógł dać pomoc w razie potrzeby lub niebezpieczeństwa, było to małą pociechą, biorąc pod uwagę teren górski. Otóż i w tym roku od szeregu dni pilnie strzegliśmy przechodów jeleni od strony gór węgierskich ku nizinom, gdzie stęsknione samki oczekiwały kawalerów.

Każdy z nas starał się pojedynczo dojść do punktu zbiorowego i po złożeniu meldunku leśniczemu z wyniku czat poprzedniego dnia, rozstawialiśmy się na parę godzin przed zachodem słońca, skazani do siedzenia na jednem miejscu aż do jego wschodu. Pół biedy dopokąd świeciło słońce, ale najgorsze katusze przychodziły z nadejściem nocy, która jak zwykle w górach, do ciepłych nie należała. Samo przez się zrozumiałe iż ognia palić nie było wolno, ani również papierosów lub fajki. Pozostawał więc człek z własnemi myślami skazany na nieruchome siedzenie bez możności dowolnego poruszania się w obawie ewentualnego spłoszenia zwierza czy kłusowników, którzy podobną nam metodą również zawczasu starali się obsadzić znane przechody, aby w momencie dogodnym strzelić.

Jednej takiej nocy, wyczerpany bezsennością poprzednich, gdyż nigdy snu w dzień nie można porównać ze snem w nocy, zacząłem marzyć o tem, jak złośliwy los rzucił mnie w dal od swoich, od ludzi, z którymi przez długie lata zżyłem się, w głuszę taką, gdzie tygodnie i miesiące mijały bez widoku ludzkiej twarzy, bo i wówczas kiedy skończy się okres zdwojonej czujności, nawet koledzy gajowi rzadziej już będą przychodzić, kiedy okaże się już pomoc zbyteczną. Myślałem o tem, jak tam daleko za Wisłą ułożyły się stosunki, kto obecnie zajmuje moje miejsce, skąd musiałem uchodzić. W strachu, aby mnię nie odnaleziono, nawet nikogo nie zawiadomiłem, gdzie się obracam, wiedząc również i o tem, że rząd austryacki nie bardzo łaskawem okiem patrzył na podobnych mnie emigrantów. Myślałem o ziomkach zazdroszcząc im że, pewnie w tej chwili smacznie odpoczywają, gdy ja... ocknąłem się na huk strzału, jaki rozległ się w pobliżu.

Przetarłem oczy... na świecie niemal dzień, widocznie spałem. Strzał był bliski, strzelono widocznie obok mojej placówki. Rozglądam się w około i widzę, nie dalej dziesięciu kroków, opartą o pień drzewa dubeltówkę. Serce uderzyło mi gwałtownie, w kilku sekundach byłem już przy niej, a wziąwszy do rąk sprawdzam, czy z niej dano strzał.

— A co, ładna pukawka, prawda? — słyszę za sobą głos.

Odwracam się momentalnie i widzę przed sobą rosłego chłopa, który z najzimniejszą krwią, napycha tytuniem fajkę.

— Że ładna ani słowa, ale skąd się tu wzięła, może mi powiecie?

— Skąd się tu wzięła, hm, juści sama pewnikiem, że nie przyszła, ale gdybyście byli ciekawi, to znaleźlibyście lepsze ot tam na lewo, albo i na prawo pod tą jedlą, tylko iść i brać.

Spojrzałem w lewo i widzę draba, który trzyma mnie pod lufą swojej fuzji, patrzę w prawo, a tam takiż sam trzyma wycelowaną rurę w moją stronę.

Zrzedła mi mina, zrobiło mi się ciepło — niema co myślę, położę tu głowę, ale zanim oddam swój żywot, sprzedam go drogo. Strzelba, jaką oglądałem, wiedziałem, iż nie była nabita, gdyż z niej wystrzelono, nie potrzebowałem się więc obawiać, że na wypadek, gdyby ją odebrał, użytek może z niej zrobić.

Perswadować, czy prawić nauki moralne, albo chcieć aresztować stojącego przedemną kłusownika, nie było sposobu, wiedziałem, że najlżejszy ruch z mojej strony w jego kierunku, spowoduje ze strony jego przyjaciół niechybny strzał bez najmniejszego szkopułu. Patrzę bezmyślnie przed siebie, a zastanawiając się nad sytuacją w jaki sposób z niej wybrnąć bez szkody, bo bądź co bądź życia żal, przychodzi mi na myśl pytanie, dlaczego żaden z moich kolegów do tej pory nie dał znaku życia? Przecież niewątpliwie strzały słyszeli? A może te strzały były do nich skierowane? Na tą myśl posyłam wzrok w kierunku gdzie powinni się znajdować, patrzę i oczom własnym nie wierzę, widzę bowiem jak jeden i drugi kłusownik mierząc do mnie, sami stoją pod lufami moich kolegów, z tą różnicą, że naszych jest dwu na jednego.

Wszystko to co opisuję, dzieje się w przeciągu paru minut, myśl w chwili niebezpieczeństwa błyskawicznie pracuje... oprzytomniałem.

— Powiadacie, że ładne strzelby u sąsiadów, zwracam się do mojego kłusownika, zaraz zobaczymy bo gajowym uprzykszy się tak długo trzymać ich właścicieli pod lufą, lada chwila wypalą, a ręczę za to, że nie chybią, a nawet i dla was zostanie z jeden pewny nabój, na wypadek gdyby kolegom waszym przyszła chęć strzelenia do mnie.

— Spojrzyjcie, proszę bardzo, i tam na prawo i tam na lewo.

Zdębiał chłop, jak mówią, na niego teraz przyszła kolej strachu. Nie dając się mu opamiętać zmusiłem, iż dał znak ręką swoim kolegom wskazując im niebezpieczeństwo, na jakie sami są narażeni. Ci, widząc co się dzieje opuścili broń i nietylko, że dali podejść ku sobie, ale oddali broń i dali się powiązać jak barany. Sprawdziło się tym razem przysłowie; złapał kozak tatarzyna, a tatarzyn za łeb trzyma.

K. Z.

LIST.

Pewni, iż zrobimy czytelnikom „Ech Leśnych" przyjemność, zamieszczamy poniżej treść listu, jaki otrzymaliśmy od jednego z prenumeratorów, a ceniąc jego intencje i myśl zawartą w wierszu cytujemy go bez poprawek:

Szanowna Redakcjo!

„Miesięcznik „Ech Leśnych" otrzymuję już pod moim adresem. Dziękuję serdecznie i proszę o nadsyłanie mi miesięcznika w dalszym ciągu. Prenumeratę za kwartał I i II-gi 1925 roku w wysokości 3 zł. przesyłam. Z prawdziwą przyjemnością, a nawet zapałem czytam nasze kochane pismo. Idąc śladem swych kolegów gajowych, przesyłam Szanownej Redakcji wiersze swego utworu z prośbą o wydrukowanie w miesięczniku jeżeli się nadają.

Ach, bym doczekał kiedyś tej chwili,
Którą bym pragnął powitać mile,
Byśmy nasze bagna, wydmy piaszczyste
Mogli zalesić w ziemi ojczystej.
Więc dalej koledzy do góry czoła,
Ojczyzna woła.
Nie szczędźmy trudu
Bo wiele . . . . brudu
Jest w naszych lasach i gajach,
Gdzie pracy trzeba w trudzie i znojach.
Choć nam odjęto
Prawa i święto
Nie patrzmy na to, boć obowiązkiem każdego z nas
Strzedz dobra kraju, jakim jest las.

Więc rzućmy troski
Nie patrzmy na zyski
Tylko na pracę przed nami,
Bo cóż piękniejszego nad bory i gaje
Jakie nam Pan Bóg zadarmo daje.

Brodowe, dn. 14 stycznia 1925 r. *Jan Trajdos.*

Przygoda lisa.

Nareszcie przepiękna pogoda. W powietrzu cisza i jasno. Od kilku dni nieustannych śnieżnych opadów, chwycił tęgi mróz.



Grubą warstwą śniegu pokryte pola iskrzyły się tysiącami drobnych kryształków brylantowych. Niedaleki bór z gałęziami drzew uginającemi się pod ciężarem śniegu, sprawiał tajemnicze wrażenie, z wnętrza którego wyszedł ostrożnie skradając się, zgłodniały lis. Zanim przeskoczył rów dzielący las od pola, postał dłuższą chwilę badając okolicę. Nadsłuchiwał pilnie, a bystremi ślepiami rozglądał się do okoła, czy nie dojrzy lub nie usłyszy grożącego mu niebezpieczeństwa. Przez dni kilka padający śnieg pozbawił go możliwości polowania. Przykre te dni przesiedział o pustym żołądku w norze, w dodatku jeszcze cudzej, spodziewając się lada chwila ataku prawego właściciela mieszkania. Pierwszą jego myślą, po wyjściu dziś z przymusowego więzienia, udać się w pobliskie pola, leżące pomiędzy wsią, a lasem w nadziei, upolowania chociażby malutkiej myszy.

Stał jeszcze chwilę niedowierzająco spoglądając na leżące przed nim pole. Lecz w końcu głód silniejszy od wrodzonej ostrożności przemógł, w kilku susach znalazł się w środku pola ostrząc zęby, które od kilku dni niemiały nic do roboty. Wzdychał do widoku myszy, lecz te, w chodnikach podśnieżych, czuły się dzisiaj bezpieczne przed żarłocznością swego wroga. Siadł więc na śniegu wytężając słuch, czy nie usłyszy mysiego pisku. Patrzy smutny na wieś, lecz poważny kawał drogi odstrasza go, chociaż i tam w tej porze roku trudno byłoby o jaką zdobycz. Zna przecież każdą chałupę, każdy kurnik, każdą gospodynię, ale wie również i o tem, iż obecnie kury trzymają się w pobliżu chat zbite w gromadkę dla

ciepłoty. Żadna nie pozwoli sobie na wyjście poza obręb gospodarstwa. Gdyby jeszcze nie te przeklęte Burki, Kruczki, Rozboje i t. p. Łatki, które więcej wrzasku robią aniżeli rzeczywistego pożytku, może w końcu i odważyłby się na próbę podejścia pod wieś. Nieraz już w godzinach podobnego głodu zastanawiał się nad tem, czy niebyłoby dobrze stanąć na służbę w budzie, gdzie już gospodarz starałby się o jego wyżywienie.

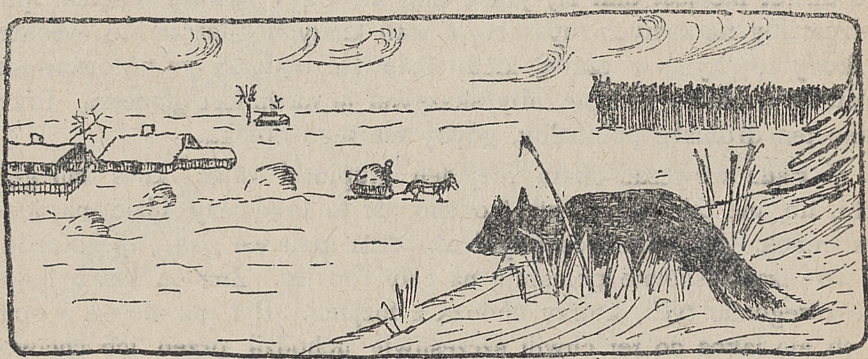
I kiedy szedł w tych dobrych zamiarach do wsi, wówczas licho napędziło w jego drogę kuraka lub głupią gęś. Cóż miał robić, chwytał kiedy się udało, a umykał co sił w nogach kiedy wymknął się kurak i narobił wrzasku. O, pamięta dobrze takie chwile. Z całej wsi Zagraje, Łyski i t. p. psiego rodu przedstawiciele, puszczały się w pogoń. Dobrze jeszcze kiedy zboże było wysokie, wówczas kończyło się tylko na strachu. Zastanawiając się, czuje, że nawet nie jest taki zły jak o nim mówią i zawsze chętnie poprzestałby na samych myszach, a jeźli kiedy dopuszcza się większej szkody to chyba w czasie, kiedy połowica obdarzy go potomstwem. Wtedy trudno wymagać, aby skazywał je na śmierć głodową. Przecież ten drobiazg poginąłby, gdyby nie jego opieka.

Pada wówczas ofiarą niejeden głupiutki zając, kura lnb gęś. Ho, ho, nie taki głupi wie i o tem, ile to kradzieży idzie na jego rachunek. Niejedna gospodyni ukradnie sąsiadce gąskę nieznaczoną i wówczas wspólnie pomstują na cały ród lisi. Zna on dobrze ludzi, a szczególnie tych, którzy chodzą z fuzjami. Był już nieraz w opałach ale jakoś do tej chwili szczęśliwie uchodził przed ich chciwością jego skóry. Wspomnienia te, a szczególnie wybiegi natchnęły go wiarą w lepszą przyszłość. Z otuchą posunął się w głąb pola pilnie bacząc na drobniutkie mysie ślady... już, już zdawało się iż lada chwila, lada moment, upragniona zdobycz, będzie nagrodą jego cierpliwego siedzenia na śniegu. Niestety i tym razem zawód. Beznadziejnie spojrzał na prawo i lewo. Drgnął, od strony wsi jechały sanie obok zaś szedł furman z łopatą w ręku. Hm, hm, co to może być, należy zaczekać i zobaczyć gdzie jedzie. Roboty w polu niema, gnoju nie wiezie więc poco? I w końcu zdaje mi się, że go znam, wcale głupi chłop. Ale ot i nowe dziwo, zatrzymał konie i nabiera śnieg na sanie jakby miał go mało przy chałupie, coś mi to bardzo podejrzane więc baczność. Cha, cha, cha, to doprawdy śmiechu warte, ręczę że i człowiek by się uśmiał, tyle śniegu, że ledwie chałupę jego widać, a on jedzie w pole po śnieg.

Nic, a nic nie imponuje mi mądrość ludzka. Szkoda sobie zaprzątać tem głowę, szkoda i czasu, a może przecież jeszcze uda się coś złapać na ząb, ściska mnię w dołku z głodu... ależ to nie do

uwierzenia, to chyba niespełna rozumu, wszak ci ten głupi cap naładował pełne sanie śniegu podjechał nie dalej jak pół staja i znowu zrzuca śnieg ze sani. Teraz zaczyna to być nawet dosyć interesujące, mówią żem sprytny, ale jak pragnę mysz złowić tak nic nie pojmuję. Ładuje pełne sanie śniegu rozwozi po polu i zrzuca w odstępach jak gnój, dowcip nielada. Ach teraz zaczynam rozumieć, jedzie w kierunku lasu, pewnie chce coś ukraść i w ten sposób zatrzeć ślady. Otóż i prawda, skręca pod las, przystanął... wejdzie pewnie w las zetnie tam chojaka wyniesie włoży na sanie i pojedzie. Tracę czas na marne, głupszy jak myślałem gdyż on w dalszym ciągu odgranicza pole od lasu kupkami śniegu... ale cóż to, jest już naprzeciwko mnie, znowu przystanął zrzuca śnieg... nie to charty... w nogi, a bodjbyś pękł mądralo, od lasu mnię objeżdzał.

K. Z.



Pogadanki gajowego Marcina.

Rzetelnie muszę się przyznać do tego, że kum Franek zabili mi niemałego sęka, opowiadaniem o różnych dolegliwościach, jakie spotykają naszych kolegów.

Bo chociażby człek tylko w połowie przyjął to za prawdę, to i tak byłoby tego zawiele, boć przecież mówią; iż niema dymu bez ognia.

A jednak powinniśmy wystrzegać się robienia alarmu przy lada okazji, zwłaszcza, kiedy na ten przykład stanie się gdzieś naprawdę komuś krzywda, aby wówczas bić w duże dzwony wołając ratunku, bo cała wieś w ogniu, gdy tymczasem to tylko pastucha na polu ogień rozłożył. Kiedy się słucha tylko jednej strony i na tej podstawie wydaje się sąd o rzeczy, zawsze musi się zbłądzić. Mówię o tem wedle tego, że niewolno nam pojedynczych

wypadków uogólniać robiąc z tego piekło, iż dzieje się krzywda wszystkim, kiedy naprawdę jest inaczej.

Wiemy wszyscy bardzo dobrze w jakich warunkach odzyskaliśmy niepodległość, jak trudno nam jeszcze dzisiaj związać koniec z końcem. Jeźli młoda nasza administracja niezawsze należycie spełnia swój obowiązek, to musimy wierzyć, iż przyczyną tego jest jej niewyrobienie ale nigdy niema tam złej woli i dlatego na zauważone błędy natury ogólnej, winniśmy zwracać uwagę tych, od których to zależy, aby błąd ten poprawić.

Mam tu na myśli sprawę, jaką na mój rozum uważam nawet za bardzo ważną, obchodzącą wszystkich, a poruszył ją nie kto inny, tylko również kum Franek. Mowa o korzystaniu przez pracowników leśnych z bezpłatnych porad lekarskich. Bolączka ta nie od dziś trapi ogół, szczególniej gajowych. Brak swobody w wyborze lekarza doprowadza często do smutnych następstw, bo taki lekarz musi być uniwersalnym. Dnia jednego akuszerem, drugiego chirurgiem, trzeciego okulistą, czwartego dentystą i t. p. a najczęściej zaś, pobierającym pensję bez zadawania sobie zbyt wielkich trudów w badaniu przyczyn choroby urzędowych pacjentów. Z drugiej strony ten sposób traktowania chorych jest źródłem dochodów różnych felczerów, znachorów, owczarzy i t. p. doktorów z bożej łaski.

Jak wygląda w praktyce taka urzędowa porada lekarska wiem od kuma Franka, który przy ostatniem naszem widzeniu się, obszernie o tem opowiadał. Wypadek ten miał miejsce gdzieś w Radomskiem czy Kieleckiem, dobrze już tego nie pomnę.

Otóż przychodzi do lekarza chory gajowy i skarży się na ból głowy, jaki od szeregu tygodni dokucza mu.

— Więc mówicie, że boli was głowa?—pyta doktór.

— Oj boli, boli, dzień i noc, że trudno wziąć się do jakiej pracy — mówi gajowy.

Ubrał lekarz rękawicę gumową obmacał chłopu kark i powieda; najwyższy czas było przyjść, jutro zrobimy operację, macie wodę w głowie.

Gajus w nogi nieoparł się aż w domu.

— Cóż ci dochtór pedział? — pyta żona.

— Ot co powiedział, mam wodę w głowie potrza zaraz robić operację bo woda mózg zaleje.

Nie dziwota, kobieta uderzyła w lament, narobiła wrzasku na całą wieś (mieszkali we wsi, komornem) zbiegły się somsiady i dalejże redzić i raić. Naraili z sąsiedniej wioski owczarza, specjalistę od wszystkich chorób. Przeto owczarz, jako wszystko znający niekazał choremu mówić lecz sam w porządku od początku do końca

opowiedział choremu co go bolało i co go boli, a w końcu zdecydował, że to zaziębienie, zalecił domowe środki, a po upływie tygodnia uczuł się gajowy zdrów jak ryba. Wierzy dziś święci iż miał wodę w głowie i o cudzie swego uleczenia opowiada w około. O ileby więc dobrodziejstwo korzystania z porady lekarskiej nie było ograniczone, a pozostawiony wybór choremu, wówczas i lekarze inaczej traktowaliby urzędowych chorych i dlatego tu jest konieczna reforma.

Niemałem też strapieniem jak mi mówili kum Franek ma Związek Leśników (kum jest w Zarządzie) z projektem stworzenia własnej siedziby, czyli inaczej, z zamiarem kupna własnego domu. Jušci prawda i z tem należy się zgodzić, że nic tak silnie nie zespoli członków Związku jak ten widomy znak własnej zapobiegliwości oprócz tych korzyści, jakich może dać członkom posiadanie własnego gmachu, w którym mają się mieścić biura Związku, pokoje dla przejezdnych członków, redakcje pism, bursa dla niezamożnych uczni, synów członków Związku i t. p. Ale jak dojść do tego celu?

Z samych składek miesięcznych członkowskich mowy niema aby powstał taki dom. Nadzwyczajna danina (nastała moda na daniny), jaką uchwalił w roku ubiegłym Zjazd Delegatów Związku, zanim zostanie zebraną upłynie również sporo czasu.

Cóż więc robić? Wstydem byłoby poniechać tej myśli, tembardziej, że Związek rośnie liczebnie w siłę więc tem samem, przy ścisłem spełnianiu przez członków zobowiązań, będą i fundusze na ten cel wzrastały. Z drugiej strony i to należy wziąć pod uwagę, co zresztą wszyscy sami doskonale rozumieją, bez potrzeby przekonywania, iż czym rychlej zdobędą się członkowie na własny kąt, tem samem siły Związku momentalnie się potroją.

W taki sposób opowiadał i biedził się kum, że nijakiej rady niema aby pokonać te trudności.

Myślałem ci i ja trochę i tak mi się widzi, że jeżeli może niezupełnie to pewnikiem w połowie dałbym radę dopomódz a jak, zaraz opowiem.

Niepamiętam tylko dobrze, ale tak mi się widzi, iż było to w roku ubiegłym. Jedna ruchliwa redakcja gazety codziennej rozpoczęła nawoływać czytelników do składek aby zakupić samochód karetkę dla przewożenia chorych i w niedługim czasie karetka taka, imienia czytelniów tej gazety, zaczęła wozić chorych. Nie od dzisiaj słyszymy, że wskutek zamarcia wszelkiego ruchu budowlanego po miastach, powstał ogromny brak mieszkań, gnieżdżą się ludziska jak kto może i gdzie może, a najtrudniej tym biedakom, którzy odarci, zgłodniali, nawpół boso powrócili od naszych wschodnich sąsiadów,

bolszewików. Otóż i tu również na wezwanie redakcji gazety, pospieszyli dobrzy ludzie z pomocą, która umożliwiła postawienie kilku baraków dla bezdomnych. To, o czem jednostce byłoby nawet trudno marzyć, z łatwością przychodzi dokonać zbiorowym siłom narodu, które jak w tym wypadku cudów dokazały.

Rzecz zrozumiała iż dawali ci, którzy mogli, a ponieważ wiem dobrze o tem, iż czytelnicy „Ech Leśnych“ niemają, przeto i nie myślę w sposób podobny, za przykładem tamtych gazet, apelować o składki na dom dla Związku. Mój projekt zupełnie inny, a jak sądzę nikomu krzywdy ani szkody nie uczyni, a zato przy dobrych chęciach czytelników, ogromnie mógłby się przyczynić do urzeczywistnienia zamiaru nabycia własnego domu.

Biorąc pod uwagę obecną porę roku, ilość czytelników „Ech Leśnych“, którzy są przeważnie członkami Związku Leśników, z których każdy gdyby gragnął przyczynić się, aby słowo stało się ciałem, zechciał przez dwa tygodnie codziennie powracając z lasu do domu przynieść ze sobą szyszek sosnowych i te w końcu drugiego tygodnia wyłuszczył razem w piecu w pół godziny po wypieku chleba, otrzymałby mniej więcej powiedzmy około 1 klgr., nasion, co przy ogólnej ilości czytelników dałoby około 2 tysięcy klgr., wartość których przy spodziewanej cenie rynkowej dałaby około 100 tysięcy złotych t. j. sumę, z jaką możnaby się pokusić o kupno własnego kąta. Gdyby punktualnie każdy owe uzbierane nasiona oddał w najbliższym Oddziale Związku za pokwitowaniem, a ten znowu odesłał do Głównego Zarządu, przekonaliśmy się wówczas, że to co jest i było tylko marzeniem, mogłoby bardzo rychło przyjąć formy dokonanego faktu.

Chcieć czegoś to znaczy módz, pomyślcie wiec o tem czytelnicy i nieoglądając się na to co zrobi sąsiad wasz, rozpocznijcie z chwilą odebrania pisma działać w tym kierunku, a pokażemy światu i niewiernym Tomaszom, że i my potrafimy coś robić.

L. T.

Z życia Z. Z. L. w Rzplitej Polskiej.

Posiedzenie Zarządu Głównego naznaczone na dzień 25 Stycznia b. r. odbyło sie przy udziale 15 członków. Zebraniu przewodniczył prezes kol. Zagórski.

Na posiedzeniu tem rozpatrywano kilka spraw wniesionych przez poszczególnych członków, którzy zwrócili się do Zarządu Głównego o interwencję w M. R. i D. P. Sprawy te zostały przekazane Prezydjum Zarządu, aby po zasięgnięciu opinji w Oddziałach, odpowiednio załatwiło. Porządek dzienny nie został w całości wyczerpany, gdyż bardzo wiele czasu poświęcono sprawie otworzenia przy Związku kooperatywy, o czem już w poprzednim zeszycie wspominaliśmy. Wybrana komisja dla tej sprawy złożyła Zarządowi Głównemu sprawozdanie z przedwstępnych swoich prac, nad któremi wywiązała się dyskusja. Zamiarem Zarządu Głównego jest stworzenie przy Związku kooperatywy, w której członkowie mogliby zaopatrywać się w różne artykuły po cenach przystępnych. Do kooperatywy tej może należeć każdy członek Związku po opłaceniu jednorazowo wpisowego w wysokości uchwalonej przez Walne Zebranie członków kooperatywy oraz udziału w ustalonej już wysokości 25 złotych. Zadeklarowany udział przez członków chętnych do przystąpienia do kooperatywy może być wrazie niemożności wpłacenia jednorazowo, rozłożony na raty i w ciągu 5—6 miesięcy spłacony. Udział wpłacony zostaje własnością członka, jeden członek może wziąć kilka udziałów jednakże niedaje mu to prawa większej ilości głosów.

Po upływie roku następuje obrachunek z dokonanych w ciągu roku operacji handlowych i czysty zysk jaki przyniosła kooperatywa, rozdzielony zostaje pomiędzy członków udziałowców w stosunku 2% od włożonego kapitału. Członkowie kooperatywy wybierają t. z. Radę Nadzorczą złożoną z 12 członków oraz 6 zastępców na przeciąg trzech lat. Ta Rada Nadzorcza wybiera zarząd, który prowadzić będzie kooperatywę. Narazie kooperatywa nabywać będzie i sprzedawać nasiona, sadzonki, cechy, fity, młoty, numeratory, książki traktujące o leśnictwie, druki i t. p. zanim rozwinie się tak, aby mogła sprowadzać wprost z fabryk sukna na mundury, płótna, broń, amunicję, narzędzia rolnicze, instrumenty miernicze i t. d.

Sprawa otwarcia takiej kooperatywy posunęła się już o tyle naprzód, że Zarząd Główny polecił Prezydjum dla urzeczywistnienia tego projektu, otworzyć kooperatywie kredyt w wysokości pięciu tysięcy złotych.

Ktoby więc z członków Związku Z. Leśników pragnął przystąpić do tej kooperatywy, o której w streszczeniu powiedzieliśmy wyżej, winien bądź za pośrednictwem swego Oddziału bądź też bezpośrednio zwrócić się do Zarządu Głównego z oświadczeniem, iż zgłasza swoje przystąpienie i deklaruje się w przeciągu takiego a takiego terminu oznaczony udział spłacić.

Różne.

Gdzie są największe mrozy?

Za miejsce o najniższej temperaturze na całym świecie uważają dotychczas miasto Werchojańsk, we wschodniej Syberji, gdzie zimno dochodzi nieraz do 67° C. Zimy bywają tam tak ostre, że rtęć przez całe miesiące jest zamarznięta, temperatu zatem nie wznosi się wyżej nad 40 stopni C. Nawet dla metali zimno to jest za wielkie, żelazo bowiem robi się wówczas tak kruchem, że siekiery w czasie użycia pękają jak szkło, a drzewo nawet miękkie, stawia przy rąbaniu taki opór, jak najtwardszy kruszec. W mieście Jakucku zimno dochodzi czasem do 60 stopni C. W takie mrozy ludzie zabezpieczają twarze od odmrożenia maskami, bez których nie pokazują się na ulicy. Mniej więcej podobną temperaturę zauważono także w porcie Reliante obok zatoki Hudsona. Dlatego słusznie ujście Leny nazwano azjatyckiem, a wyspy na północy Ameryki, amerykańskim biegunem zimna. Jedyną myślą ludów tam żyjących jest: jak się wyżywić i jak się ogrzać w ciągu długiej zimy. Europa nie posiada tak nizkiej temperatury; w najodleglejszych, najzimniejszych jej punktach, jak w Archangielsku, Pustoziersku, Mczeni i Toanos, a nawet na półwyspie Kola nie dochodzi do większego zimna nad — 48° C. W Petersburgu spadła raz temperatura do 40° C. Wówczas wielkie stare drzewa pękały z hukiem armatnim, a wrony padały w locie ginąc z zimna. Przewiezione tam z Warszawy biusty marmurowe królów polskich (z Łazienek) potraciły z mrozu nosy i uszy. W Kursku — obserwowano zimno — 34° C. przy bardzo silnym wichrze północnym. Cóż jednak dziwić się tak północnym okolicom, kiedy nawet w Europie środkowej, mianowicie we Wiedniu, spadł w roku 1770 termometr dwa razy do — 33° C. Wogóle jednak ma Europa stosunkowo łagodną temperaturę, a zawdzięcza ją Golfstraemowi, t. j. prądowi morskiemu, który szeroką rzeką ciepłej wody, płynącej z zatoki Meksykańskiej, omywa zachodnie wybrzeża Francji i Anglji. Po drugiej natomiast stronie Atlantyku, na szerokości Warszawy, a nawet Wiednia znajdujemy tak nizką temperaturę, jaką się spotyka w północnych prowincjach Szwecji i Norwegji.

(Zagroda wzorowa).

Biały słoń Sjamu.

Jak wiadomo, w Sjamie biały słoń uważany jest za zwierzę święte. Nie zawsze jednak się zdarza, aby sjamczycy mogli oddawać cześć takiemu zwierzęciu biały bowiem słoń jest wielką rzadkością.

Nie dziw zatem, że w Sjamie zapanowała obecie radość wielka, gdy rozeszła się wiadomość, że słonia takiego zdołano schwytać w dżunglach sjamskich.

Schwytane zwierzę jest jeszcze młode i przedstawia doskonały typ słonia albinosa. Skórę posiada zupełnie białą, a oczy czerwone.

Sprowadzenie rzadkiego zwierzęcia do Banghoku, stolicy Sjamu, dało powód do urządzenia tam wielkich uroczystości. Cała ludność miasta, z królem sjamskim na czele, wyległa na brzeg rzeki Mé-Nam, aby widzieć przybycie świętego słonia, umieszczonego na wielkiej łodzi, zbudowanej w kształcie świątyni.

W chwili przybicia łodzi do brzegu, na spotkanie słonia wyszli kapłani i z wielkiemi ceremonjami podali zwierzęciu wiadro wody do wypicia. Następnie, wyprowadzony z łodzi, słoń ruszył, pod eskortą oddziałów jazdy i tancerzy w czerwonych szatach, do pałacu królewskiego, gdzie znów odbywały się przez trzy dni uroczystości pompatyczne na cześć świętego zwierzęcia.

Ucieczka 150 jeleni.

Z lasu Windsor, należącego do króla angielskiego, uciekło, po przerwaniu ogrodzenia, sto pięćdziesiąt jeleni.

Wezwany na pomoc oddział gwardji królewskiej, złożony z 80 jeźdźców, zdołał, po całodziennej gonitwie, złowić — jednego zbiega, widział zaś — sześciu. Po chybionej tej wyprawie kawalerzystów królewskich, postanowiono urządzić wielką obławę pieszą na rozpierzchłe jelenie, wyrządzające poważne szkody w farmach okolicznych.

Wierny pies.

Z Passau donoszą do dzienników wiedeńskich:

Niezwykłym przykładem psiej wierności jest wyżeł zmarłego w tych dniach w Freinbergu restauratora i właściciela domu Hubera.

Od chwili pogrzebu Hubera, wierny pies codziennie biegnie na cmentarz i choć wrota cmentarne są zamknięte, zawsze znajduje sposób dostania się tam i stanąwszy przy grobie swego pana, stara się wygrzebać łapami nieboszczyka z pod ziemi. Odpędzony, powraca następnego dnia, aby skomląc żałośnie, wznowić swą pracę.

Rady gospodarskie.

Przepis na wyrób mydła.

9 litrów wody miękkiej (przegotowanej), 1 kg. 60 dkg. tłuszczu (najlepszy mieszany), 40 dkg. sody kaustycznej, (kupić w aptece), 20 dkg. kalafonji lub żywicy.

Gotować mydło należy w następujący sposób:

W dużym naczyniu zagotować wodę przeznaczoną na mydło, w której ostrożnie rozpuścić sodę kaustyczną, wystrzegając się poparzenia przy rozpryskiwaniu. Gdy soda będzie zupełnie rozpuszczona, dodać tłuszcz, a następnie kalafonję lub żywicę.

Wszystko razem gotować na wolnym ogniu od 2 do 3 godzin, aż masa będzie gęstawa, poczem gorącą wylać na brytwanny lub inne naczynia, zmoczone zimną wodą i tak pozostawić, aż zupełnie zastygnie i da się krajać na kawałki dowolnej wielkości. Suszyć należy w przewiewnem, chłodnem miejscu.

(Zagroda wzorowa).

Prenumerata kwartalna „Ech Leśnych" w 1925 r. wraz z przesyłką pocztową wynosi 1 zł. 50 gr.

Cena pojedyńczego numeru 55 groszy.

Wydawca: Związek Zawodowy Leśników w Rzeczypospolitej Polskiej w osobie prezesa Związku Józefa Zagórskiego. Redaktor: Ludwik Tinz.

Zakłady Graficzne „Nasza Drukarnia" w Warszawie